



Stanisław
Smoleński

Czatrzymać Czas

Stanisław Smoleński
„Zatrzymać czas”

Copyright © by Stanisław Smoleński, 2019
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grzeškowiak**
Korekta: **Joanna Barbara Gębicka, Marianna Umerle**
Projekt okładki: **Jakub Kleczkowski**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-8119-531-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

WERSJA DEMONSTRACYJNA

*Życie jest jak film. Tylko od ciebie zależy, czy po jego
zakończeniu usłyszysz aplauz, czy gwizdy dezaprobaty.
Chciałbym tymi wspomnieniami zatrzymać w kadrze niektóre
obrazy, co w pamięć się wryły i po latach wracają, które na
zawsze zachować warto.
Jak ten czas zatrzymać?*



Herb Zagłoba rodziny Smoleńskich

SKĄD MÓJ RÓD

Wychowywałem się w rodzinie, która kultywowała tradycje i wartości z pokolenia na pokolenie. Jako dziecko, z otwartymi ustami słuchałem opowieści ojca o jego przeżyciach, historii rodziny, poszanowaniu szlachectwa, którym rodzina się chlubiła. Zapytałem ojca, co oznacza owo szlachectwo i posiadany herb. Wówczas on powiedział mi:

– Pamiętaj, synu, że szlachcicem jest ten, kto szlachetnie postępuje. Samo pochodzenie nie czyni cię jeszcze szlachcicem. Szlachcic nie może kłamać, łamać raz danego słowa. Trzeba być empatycznym, pomagać słabszym i biednym, trzeba być po prostu człowiekiem.

Te wartości starałem się zapamiętać na całe życie i do nich się stosować. Historię rodziny poznałem z zapisów metrykalnych i z przekazu ojca. Mój pradziadek urodził się jeszcze w XVIII wieku, w roku 1799. Był szlachcicem na pięciu wsiach: Kijewice, Trzcianka, Daćbogi, Węgra i Smoleń. Stanowiło to dwieście dymów, jak wówczas określano jedno zamieszkałe siedlisko. Ród Smoleńskich pieczętuje się herbem Zagłoba. W roku 1836 ukazem carskim dokonano spisu szlachty w Królestwie Polskim, przyznając tak zwane dyplomata osobom dysponującym odpowiednim majątkiem lub wymaganym statusem społecznym. Dziadek Józef takie rozpoznanie uzyskał, a herb z wielkim pietyzmem przechowywany był w rodzinie i Gminie. Bardzo często duże majątki ulegały degradacji. Przyczyną były obowiązkowe posagi lub podziały rodzinne. Niejednokrotnie w kilku pokoleniach majątek kurczył się do niewielkiej gospodarki. Tak na Mazowszu powstała drobna szlachta, gospodarująca niejednokrotnie na kilku hektarach. Przykładów takich wsi jest wiele. We wsi Jabłonowo mieszkali sami Jabłonowscy, w Kuskowie – Kuskowscy, w Zembrzusu – Zembrzusczy, we wsi Pszczółki, do której musieliśmy z konieczności się przenieść, prak-

tycznie sami Pszczółkowscy. Arystokracja na tę degradację znalazła radę, ustanawiając ordynację, której nie wolno było dzielić. Dziedzic, czyli ordynat, uzależniony był od decyzji Rady, sprawującej nieformalną pieczę nad majątkiem. Radziła sobie z tym i bogatsza szlachta, wysyłając chłopców na studia lub do seminarium. W mojej rodzinie pradziadek, który miał trzech synów, jednego, Jana, wysłał do seminarium. Był on później dziekanem w Przasnyszu, gdzie został też pochowany. Drugi syn, Karol, czyli mój dziadek, urodzony w 1840 roku, skończył Liceum w Pułtusku i miał studiować w Warszawie. Na ojcowiznie w Kijewicach został trzeci syn, Franciszek. Dziadek przerwał studia po pierwszym roku. Zakochał się w pięknej i na szczęście bogatej pannie Mariannie Bartoład herbu Grzymała. Mając zaledwie 21 lat, co w przypadku mężczyzny było ewenementem w tamtych czasach, wziął ślub z młodszą o rok Marianną. Babcia wniosła we wianie 6 włók ziemi (około 100 hektarów). Dziadek, jak wynikało z dokumentu zakupu, nieco mniej, bo kupił 8 włók wraz z zabudowaniami we wsi Zembrzus Wielki w gminie Czernice Borowe w powiecie Przasnysz. Dziadek, jako światły, jak na owe czasy, człowiek, przeprowadził w latach 60. XIX wieku komasację ziemi we wsi. Niektórzy Zembrzusczy posiadali 10 czy 20 hektarów w kilkunastu kawałkach w różnych miejscach. Dziadek zaczął wprowadzać nowoczesne metody uprawy. Zrzucił modną wtedy trójpolówkę na rzecz sprządzanych maszyn rolniczych. Z przekazu ojca wiem, że zboże w drobnych gospodarstwach kosiło się jeszcze sierpem, a kosa była używana tylko do koszenia łąki. Dziadkowie mieli aż jedenaścioro dzieci. Mój ojciec, urodzony w 1883 roku, był najmłodszym synem. Niestety, dziadek nie zadbał o to, żeby zapewnić dzieciom wykształcenie. Edukacja kończyła się wówczas na czterech klasach carskiej szkoły gminnej. Dziadek zatrudniał w domu nauczycieli, jednak formalnego wykształcenia żadne z jego dzieci nie otrzymało. Sześć córek wydano za mąż i z opowieści rodzinnych wiem, że wszystkim powodziło się bardzo dobrze. Osiedły na dużych gospodarstwach w okolicy. Najstarszy syn, Leopold, ożenił się i gospodarował w są-

siedniej wiosce i był z ojcem najbardziej zżyty. Dwaj młodsi bracia, Geniusz i Czesław, ożenili się też z pannami gospodarskimi, ale po kilku latach sprzedali ziemię i przeprowadzili się do Grudziądza. Stryj Geniusz, bo takie dziwaczne nadano mu imię, być może był geniuszem, bo w krótkim czasie dorobił się trzech porządnych trzypiętrowych kamienic i sklepu. Mieszkania wynajmował oficerom, bo w Grudziądzu stacjonowało wówczas kilka jednostek wojskowych. Oficerowie bardzo dobrze zarabiali, a wynajem mieszkań był świetnym interesem. Powodziło mu się o wiele lepiej niż braciom na gospodarce. Stryj Czesław kupił jedną niewielką kamienicę i zajął się produkcją cukierków. Była to jednak produkcja na niewielką skalę. Stryj Franciszek zakochał się, ku niezadowoleniu dziadków, w jednej z miejscowych panien Zembrzuskich, niezbyt majątnej i, jak twierdził ojciec, niezbyt urodziwej. Dziadek przepisał mu 3 włóki ziemi, na których się wybudował i gospodarował do śmierci. Na swojego spadkobiercę przewidział najmłodszego syna, mojego tatę Mieczysława, urodzonego w 1883 roku. Nie obyło się to jednak bez pewnych perturbacji. W 1904 roku wybuchła wojna rosyjsko-japońska. Ogłoszono pobór do wojska. Ojciec był jedynym kawalerem w rodzinie. Służba trwała pięć lat, a często nawet dłużej. Z wojny można było nie wrócić. Zapadła decyzja o ucieczce do Ameryki. Nie było to trudne, gdyż wystarczyło mieć pieniądze na bilety. Na statek żaglowy o nazwie „Pretoria” wsiadł w Hamburgu. Po trzech tygodniach podróży znalazł się w Nowym Jorku. Przez miesiąc trwała kwarantanna, bo w Europie panowała wtedy jakaś epidemia. Po badaniach mógł wreszcie zacząć szukać pracy. Znalazł ją w hucie, w miasteczku przemysłowym Tarentum, w stanie Pensylwania. Bardzo lubił opowiadać nam o swoich przeżyciach. Pracował bardzo ciężko. Pieniądzy nie marnował. Wrócił po pięciu latach z okazałą sumką. Dziadek przepisał mu gospodarkę, a ojciec zaczął budować swoją gospodarkę od podstaw. Na przestrzeni kilku lat, na powierzchni 3 hektarów powstały kompleksowe zabudowania, składające się z solidnego domu, obory, stajni, dwóch stodół, chlewni, spichrza i kurników. Nieopodal domu

wykopano staw, wykorzystując bijące tu źródółko. Od strony południowej posadzono sad, okolony brzozaami. Chociaż dzisiaj nic z tego nie pozostało, obraz ten pozostanie w mojej pamięci na zawsze. Tam się urodziłem i spędziłem najszcześniejsze lata. W wieku 37 lat ojciec doszedł do wniosku, że czas się wreszcie ożenić. Był jednak drobny problem. Została do wydania jeszcze jedna młodsza siostra, co wiązało się z koniecznością zapewnienia jej posagu. Wymyślono więc koncepcję ożenku na wymianę. Trzeba było tylko znaleźć pannę na wydaniu, która będzie miała brata kawalera. Wydaje mi się, że ojciec zrobił lepszy interes, bo znalazł sobie 18-letnią pannę, a brat mamy dostał żonę o pięć lat od siebie starszą. Niemniej obydwa małżeństwa okazały się bardzo udane. W roku 1919 odbyły się obydwa śluby. Moja mama, Kazimiera, przyjechała do Zembrzusa, a ciocia Bronisława wyprowadziła się do majątku brata mamy – Wincentego. Pomimo dość późnego ożenku ojca, mama zdążyła urodzić mu jedenaścioro dzieci, a ja zamknąłem pierwszą dziesiątkę. W latach 20. zmarł 5-letni Włodzimierz, a w 1943 roku 20-letni Marian. Po mnie była już tylko moja najmłodsza siostra, Grażyna. Jako siódmy syn, zgodnie ze zwyczajem, byłbym chrześniakiem prezydenta. Ponieważ urodziłem się 21 sierpnia 1939 roku, prezydent o tym chyba zapomniał, bo miał już inne sprawy na głowie. Ojciec był człowiekiem postawnym, obdarzonym niebywałą siłą. Zasłynął z niej już w Ameryce. W objazdowym cyrku występował zapaśnik, Turek. Za pokonanie go w zapasach oferowano 100 dolarów. Była to w owym czasie ogromna kwota. Koledzy, wiedząc o sile ojca, wypchnęli go na arenę. Nie znając technik zapaśniczych, jak to nam tłumaczył, ścisnął go tak mocno, że biedny Turek długo nie mógł dojść do siebie. Mając 75 lat, nie miał sobie równych na rękę. Moi starsi bracia też do ułomków się nie zaliczali. Ważyli po 100 kilogramów przy wzroście ponad 190 centymetrów. Tylko ja wydawałem się najslabszy, ale jak się później okazało, jako jedyny zrobiłem karierę w sporcie siłowym. Dopytywaliśmy się ojca, po kim odziedziczył tak wielką siłę. Okazuje się, że po babci. Ojciec opowiadał, że w czasie budowy kamiennej

piwnicy dwaj murarze nie mogli dźwignąć obrobionego głazu, a babcia się roześmiała, twierdząc, że ona to zrobi za nich. Murarze przyjęli honorowy zakład, że jeśli jej się to uda, za darmo wybudują tę piwnicę. Babcia ustawiła kamień, ale zakładu nie egzekwowała. Takie to dawniej były polskie kobiety. Moi dziadkowie zmarli w latach 1927 i 1928. Nie było im dane poznać wielu wnucząt ze strony ojca, chociaż mieli ich w owym czasie ponad pięćdziesięcioro. Pozostawili po sobie wspomnienia dobrych, bardzo kochających się i zgodnych małżonków. Ojciec był doskonałym gospodarzem. Każdy kolejny rok przynosił nowe osiągnięcia. Za stawem pobudował czworaki, zatrudniając kilka rodzin do pracy w polu i oborze.

Cały świat runął nagle 1 września 1939 roku.

WOJNA I OKUPACJA

Od dawnej granicy z Prusami dzieliło nas około 50 kilometrów. Niemieckie dywizje pancerne na krótko zatrzymała nasza bohaterska obrona pod wsią Mokła, na przedpolach Mławy. Już od 1 września nad naszymi głowami przelatywały samoloty, a odgłosy wystrzałów słychać było coraz bliżej. Ojciec zarządził ewakuację. Załadowano dobytek na wozy drabiniaste, przystosowane w tym czasie do zwózki zboża z pola. Popędzono bydło i konie, a nas, najmłodszych, wraz z mamą posadzono do bryczki i ruszono do Warszawy. W gospodarstwie pozostali tylko dwaj pracownicy do pilnowania domu, drobnego inwentarza i drobiu.

Wyprawa do Warszawy trwała kilka dni. Niezliczone tłumy uciekinierów blokowały drogi i mosty. Wojsko nie mogło się sprawnie przemieszczać. Po dojściu do Narwi okazało się, że były tam już niemieckie czołgi. W międzyczasie na potrzeby wojska zarekwirowano bryczkę i musieliśmy przesiąść się na wóz drabiniasty. Mama trzymała mnie cały czas na rękach, miałem przecież zaledwie 2 tygodnie. Straciła pokarm, pojono mnie mlekiem prosto od krowy, wodę pobierano z rzeki. Niemieckie samoloty ostrzeliwały uciekającą ludność cywilną. Wszyscy chowali się pod wozem lub w rowach, tylko my, z mamą, dzielnie znosiliśmy ataki wroga, siedząc na wozie. Uważam, że za swoją postawę powinienem otrzymać tytuł najmłodszego kombatanta tej wojny. Po kilku dniach tułaczki wróciliśmy szczęśliwie do domu.

Rozpoczęła się najczarniejsza odsłona tej wojny – okupacja.

Ponieważ Grudziądz został wcielony do Rzeszy, wszyscy Polacy musieli opuścić miasto albo zdeklarować się, czy chcą podpisać przynależność do narodu niemieckiego. Obydwaj stryjowie wraz z rodzinami wrócili na wieś. Stryj Czesław wraz z pięciorgiem dzieci zamieszkał u nas. Na domiar złego, na części powiatu utworzono



Rok 1943, cała rodzina na ganku w Zembrzusu (stoje obok ojca)

poligony wojskowe, wykwaterowując mieszkańców. Dwie ciotki wraz z rodzinami również zwały się nam na głowę. Nasza rodzina liczyła dwanaście osób i chociaż dom był duży, ciasnota zrobiła się ogromna. Młodzi chłopcy szybko nawiązali kontakt z prężnie działającą na tym terenie organizacją AK, co zaowocowało stałymi wizytami całych oddziałów konspiratorów. Żyliśmy w ciągłym napięciu i strachu. W ciągu dnia wyznaczona osoba czuwała, obserwując drogę, czy nie zbliżają się żandarmi. Mieszkaliśmy na wzniesieniu; stąd dobra widoczność pozwalała na działanie z pewnym wyprzedzeniem. Pod domem wykopano zamaskowaną piwnicę z wejściem w podłodze, po wyjęciu deski ściennej z szafy. W przypadku alarmu było się gdzie schować. Bywały z tym związane tragicomiczne sytuacje, o których opowiadali rodzice. Pewna kuzynka, która

przyjechała do ciotki bez wymaganego zezwolenia, po ogłoszeniu alarmu wpadła w panikę i gdy konspiratorzy wskoczyli już do piwnicy, postanowiła zrobić to samo. Ponieważ była bardzo gruba, zawisła i nie można było jej ani wepchnąć do piwnicy, ani z niej wyciągnąć, tym bardziej, że ci z dołu ciągnęli ją w dół, a ci na górze w górę. W końcu ojciec krzyknął, szarpnął i wciągnął ją do pokoju. Wystraszona, gdy Niemcy wchodzili już do domu, postanowiła schować się pod łóżkiem. Zaczepiła się jednak o sprężyny łóżka i taką leżącą na środku podłogi zastali ją żandarmi. Jeden z nich podszedł, podniósł łóżko, odczepił i kazał się podnieść. Zapytał, czego ona tam szukała. Mama zauważyła kłębek wełny leżący pod łóżkiem i wytłumaczyła, że schyliła się, żeby go podnieść, co wydawało się dość logicznym wyjaśnieniem. Na szczęście nikogo nie legitymowano. Żandarmi nie tolerowali niepracujących osób. W przypadku alarmu wszyscy łapali się za grabie, miotły i łopaty. Widząc ludzi przy pracy, niczego się nie czepiali.

Mieliśmy stadko krów, od których odstawialiśmy codziennie kilkaset litrów mleka, praktycznie za darmo. Mama zbierała więc rano śmietanę z wieczornego schłodzonego udoju. Stała na kuchni w dużym glinianym garnku. Gdy ogłaszano alarm, trzeba było szybko jej się pozbyć. Najstarszy, dorosły już brat, wielki smakosz śmietany, wpadał do kuchni z okrzykiem: *Niemcy jadą!*, a mama podawała mu bez namysłu garnek do wypicia. Ten nawyk pozostał mu jeszcze kilka lat po zakończeniu wojny i mama czasami dawała się na to nabierać. Tak to do niego przylgnęło, że jak wchodził do kuchni, to my, jako dzieci, wołaliśmy: *Niemcy jadą!*

Jedna z moich siostr stryjecznych, córka stryja Czesława, Oleńka, była dyplomowaną nauczycielką. Postanowiła, że będzie uczyć w domu nasze i wiejskie dzieci. Najlepiej nadawała się do tego kuchnia, w której stał wielki stół, mogący pomieścić kilkanaście osób. Jako mały brzdąc, z ciekawością przysłuchiwałem się tym naukom i tak, bawiąc się, w wieku 5 lat nauczyłem się płynnie czytać drukowane litery. Byłem uczniem z przypadku, a interesowało mnie wszystko. Książek mieliśmy w domu pod

dostatkiem, bo brat przywiózł w tajemnicy całą wyładowaną furmankę ze zlikwidowanej przasnyskiej biblioteki. Najbardziej interesowały mnie książki z obrazkami, a żeby dowiedzieć się, co przedstawiał obrazek, trzeba było poznać literki. Wydaje mi się, że nauka poprzez rozbudzanie ciekawości dziecka jest najlepszą formą nauczania początkowego.

Pewnego razu przyjechali żandarmi, bo dowiedzieli się, że w naszym domu są prowadzone zajęcia szkolne. Na szczęście Oleńka zdążyła uciec do stryja Franciszka, gospodarującego w niewielkiej odległości od naszych zabudowań. Zwyczajowo mówiło się o nas „Smoleńscy z górki”, a na stryja Franciszka – „Smoleńscy z dołka”. Żandarm dał mi cukierka i zapytał, czy nie wiem, gdzie jest Oleńka. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że na dołku. Zapytał mamę, o jakim dołku ja mówię. Mama powiedziała, że dziecko opowiada głupoty, bo na dołku to znaczy w grobie.

W czasie okupacji najbardziej kulał handel. Sklepy przed wojną prowadzili prawie wyłącznie Żydzi. Miasteczka takie jak Przasnysz, Mława, Ciechanów, Nasielsk, były w połowie zamieszkałe przez Żydów. Gdy ich zabrakło, zamarł handel i trzeba było wrócić do gospodarki naturalnej, jak w czasach średniowiecza. Wszystko trzeba było wyprodukować samemu. Wyciągnięto z lamusa wrzeczona tkackie. Modne stały się kółka do ręcznego przędzenia wyciągnięte gdzieś z lamusa. Większość kobiet nauczyła się robić na drutach. Wrócono do uprawy lnu, będącego surowcem, z którego nie tylko pozyskiwano doskonały olej, lecz także nieocenione włókno. Zapamiętałem całą technologię produkcji. Roszenie słomy, które odbywało się nad stawem, potem tak zwane międlenie, wyczesywanie, przędzenie. Na strychu naszego domu mieszkała babcia, która nic innego przez cały rok nie robiła, tylko przędła kółkiem len i wełnę. Nosiliśmy babci Kordkowej jedzenie, a ona opowiadała nam bajki i uczyła nas piosenek. Przędza lniana, po wybieleniu, służyła do wyrobu pościeli, a nawet szyto z niej letnie garnitury. Niezastąpiona była jednak wełna. Nasze ciotki i ich córki robiły na drutach swetry, rękawiczki, ciepłą bieliznę.